

Występująca od kilku już lat gradacja brudnicy mniszki w północnej Polsce stworzyła zagrożenie dla drzewostanów nie mające precedensu w dotychczasowej historii lasów naszych ziem. W celu zapobieżenia szkodom zastosowano wiele środków zaradczych, m.in. zwalczanie chemiczne przy użyciu samolotów i śmigłowców. Przy wykonywaniu tego typu prac najważniejszą sprawą jest sprawność człowieka i maszyny oraz niezwykła precyzja obsługi aparatów latających. W „Gazecie Olsztyńskiej” (nrze z 28 VI 82) znaleźliśmy artykuł „W oku mniszkowego cyklonu”, poświęcony ludziom wykonującym tę trudną i niebezpieczną pracę.

W tym roku podczas omgławiania lasów preparatem niszczącym mniszkę brudnicę, doszło do dwóch wypadków, które pochłonęły śmiertelne ofiary. Wydarzyły się one w Koszalińskim i w naszych wysokopiennych ramuckich sośninach. W tym ostatnim wypadku pilot śmigłowca z niewiadomych powodów (bada je specjalna komisja, bo wypadku w sercu lasu nikt nie widział) zahaczył o czubek najwyższej sosny w tym dorodnym, ponad 120-letnim drzewostanie. Śmigłowiec, runął w dół i zapalił się. Lotnik i towarzyszący mu leśnicy ponieśli śmierć.

— Na Zachodzie — mówią mi w olsztyńskim Zakładzie Usług Agrolotniczych — pilotaż rolniczy jest uznawany za kaskaderską robotę. Człowiek lata nad polami i lasami 3 lata i koniec z wykonywaniem tego zawodu. Agrosamolot obsługuje tylko jeden człowiek, w dodatku lata się na niskim pułapie. W razie lekkiego choćby zaczepienia o jakąś przeszkodę, już maszyna kołuje po gałęziach, mając ze sobą pół tony benzyny i prawie tonę oleju napędowego, którego używa się jako cieczy rozprzewadzającej środek chemiczny przeciwko szkodnikom.

— Woli pan latać nad rzepakami czy lasami? — spytałem Michała Baszuro podczas spotkania z ekipą lotniczo-leśną, działającą z lotniska polowego pod Wielbarkiem nad lasami nadleśnictw: Wielbark, Jedwabno i Szczytno. Środki chemiczne zastosowano tam z lotu ptaka na ponad 40.000 hektarów.

Oczywiście nad rzepakami, bo bezpieczniej i mniej to męczy — odparł — zresztą z aprobatą swego kolegi, Jerzego Kwiecińskiego.

Mirosław Nikiciuk, który w tej kampanii opryskowej przeciwko mniszce obleciał ponad 22.000 ha (norma wynosi 16.000 ha!) woli jednak loty nad borami. Pewnie dlatego, że mniej monotonne. — Pewnie, że latanie trudniejsze, bowiem — stwierdza — wysokość kursu trzeba to podwyższać, to obniżać, dostosowując się do wysokości drzewostanów.

W tym roku pracę koordynowano i kontrolowano z ramienia ZUA przez specjalnego pilota — „Latającą Helę”, czyli Helenę Latawiec z Kętrzyna. Baczyła ona przede wszystkim, czy jej podópieczni nie dają się ponosić brawurze, czy maszyny startują należycie przygotowane i w pełni sprawne zarówno do lotów, jak i prawidłowego opryskiwania wyznaczonych drzewostanów itp.

Poranne starty odbywały się od godz. 4—5 i trwały do 6—7. Obloty wieczorne ciągnęły się od ustalenia wieczornej ciszy, czyli o 18—19 do zmroku. Wszystko zależało od tego czy nie było mgły albo wiatru. Akcję rozpoczęto w poniedziałek, 24 maja w nadleśnictwach Płońsk, Ciechanów i Dwukoły. Samolot wystartował jednak tylko do lotów nad borami płońskimi (omgławił łącznie w tym dniu 1.600 ha).

Zła pogoda uniemożliwiła loty nad drzewostanami pozostałych dwóch zakładów leśnych. Za to pod koniec tygodnia ustaliła się na osiem dni idealna aura. Po intensywnych lotach, powiedzmy trzech rannych — średnia długość wraz z dołotem na pole robocze wynosiła 30—40 km — pilot wysiadał z maszyny niemal kompletnie wyczerpany. Zwłaszcza, jeśli trafiło mu się lecieć kilka kilometrów w chmurze pyłu, który nie opadł jeszcze po pierwszym przelocie.

I piloci i leśnicy chwalili sobie użycie balonów do wytyczania granic kwater opryskowych i naprowadzania na cel. Z daleka są bardziej widoczne od tradycyjnych flag zaczepianych do drągów i mocowanych do szczytów granicznych drzew. Nie trzeba było też zatrudniać taterników do drapania się z flagami na czuby sosen czy świerków. Ot, balony puszczało się wysoko ponad korony drzew i przytrzymywało na sznurku po czym przenosiło się z nimi po przelocie samolotu na kolejne stanowiska naprowadzające.

W Nadleśnictwie Wielbark kierowca Krzysztof Kuciński woził ze sobą w gąziku butlę z wodorem, którym w razie potrzeby napełniał balony; dyrygował też wyznaczoną w danym dniu przez leśniczego grupą robotników. Ich robota też nie była przyjemna. Musieli w lesie trwać na posterunkach ubrani w ciężkie, szczelne stroje, w potęgującym się upale. Od świtu na nogach, po czym dalej do roboty, by znów podjąć dodatkowe czynności pod wieczór. Od świtu musieli być też na nogach leśniczowie, podleśniczowie i gajowi, aby obserwować prawidłowość i skuteczność oblotów. Później przypadało im wędrować na wiatrołomowe zręby, by dozorować przebieg pozyskiwania, w bardzo trudnych warunkach, drewna dla fabryk, tartaków i kopalń. Pomimo to trzeba liczyć, że na 10 leśnictw, średnio codziennie z normalnego toku i trybu pracy wyłączały się 2 nadleśnictwa — szacuje nadleśniczy wielbarski, Waldemar Lawenda.

Pobudka o 3 obowiązywała nie tylko załogi samolotów, ale i leśną lądowiskową obsługę naziemną, którą kierował Jarosław Radzewicz. Pilnował on m.in. iście aptekarskiego dozowania preparatu importowanego z Francji, Anglii i RFN. Samolot wyposażony w normalną aparaturę rurową (używaną także do oprysków chemicznych upraw rolniczych) zużywał na 1 ha, 5 i więcej litrów cieczy roboczej. Areoplan mający nowoczesny atomizer (baza w Wielbarku miała takie 2) bardziej rozdrabniający kropelki mniej — tylko 2 l.

W tegorocznej akcji antymniszkowej użyliśmy — wylicza jej szef Tadeusz Puchniarski — 48.000 l preparatów chemicznych, 4200 l preparatu biologicznego, 850 ton olejów napędowych. Łącznie 21 agrosamolotów i 4 helikoptery (zdarzało się, że operowały wszystkie jednocześnie) odbyły ponad 1000 lotów, w trakcie których pokonały ponad 40.000 km (...)